

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

32

— Napisał do ojca list — mówił dalej Delrue — z wytłumaczeniem swojego wyjazdu i prosząc go o załatwienie sprawy z taronem i panią. Poczem wyruszył z tamtymi. Markiz po otrzymaniu tego listu polecił mi zaznajomić z jego treścią ojca paui.

— A ja pana niegrzecznie odprawiłam, przynajmniej to, ale dzień przedtem wieczorem ojciec mój odebrał depezę od hrabiego już z drogi. Sądziłam, że stało się to za sprawą pana, że mścić się chcesz za złe traktowanie ojca, moje może.

— Nie, nie! Zaręczam pani! Przyznaj, Sydonio, że nie dotrzymałaś swojej obietnicy: powiedziałas mi: „Dostanie pan pół miliona franków i dowód fałszerstwa”. Otóż byłem zmuszony oddać markizowi te pół miliona, inaczej narażałem się na nieprzyjemności poważne, a wyście zachowali odbitkę z kwitu mojego i znowu mieliście mnie w rekach.

— Zwrócone to wszystko panu zostanie na początek nowych naszych związków, jeżeli dojdziemy do porozumienia, co zdaje się łatwo nastąpić może.

Delrue zapytał drżącym i niespokojnym głosem: — Pół miliona, ale na dobre tym razem, co? — Tak, i reszta także. Ale to jest drobnostka wobec reszty.

— Reszty — powtórzył Delrue, patrząc z zachwytem na bankierównę i oddychając z ulgą. — Czy mam rozumieć, że zgodzisz się...

— Zostać twoją żoną? Tak. Masz moje słowo. — Sydonio! Czy chcesz, żebym oszalał z radości! Czy to możliwe? Powiedz.

— Tak, Delrue. Zostanę twoją żoną, jeżeli potrafisz zasłużyć sobie na to i obejmiesz bank po moim ojcu, który już dogorywa. Masz dosyć inteligencji i wrodzonego sprytu, aby sobie wyrobić poważne imię w tym świecie, w którym odtąd żyć będziesz. Brakuje ci tylko odwagi, ale ja ją mieć będę za ciebie, przyzwyczaję cię, nauczę ją nabyć.

— Stanę się człowiekiem! — zawołał gorąco Delrue. — Zobaczysz. Razem, we dwoje, genialne myśli rodzić będziemy. Mów, Sydonio, rozkazuj! Posłuszny ci będę, działać będę, zabijając, jeżeli tego zażadasz. Teraz już nie mam lęku w sobie, nie obawiam się nikogo i odwaga moja zbudziła się pod wpływem szalonej nadziei, jaką we mnie wnieśliście! Jesteś moją gwiazdą, bóstwem, za którym pójdę do piekła samego.

Mówiąc to Delrue rzucił się do kolan Sydonii i dysząc radością i dumą, całował gorąco jej dłonie, korząc się przed nią z uwielbieniem. Oczy bankierówny zajaśniały tryumfem. Postawiła do gry atut ostatni, ale nie zawiódł ją! Z niebezpiecznego wroga, kilkoma słowami uczyniła sobie na zawsze oddanego i wdzięcznego sprzymierzeńca! Sydonia żyła odtąd tylko ambicją. Nie mogąc na własność posiadać bohatera, którymby się szczyścić mogła, postanowiła złączyć się z nędzikiem. Bo ten nędznik w jej rekach i pod jej wpływem, stanie się bohaterem jej zemsty. Przysięgła sobie to w duszy, przysięgła całą potęgą i siłą swojej bezpamiętnej nienawiści. On zabije Janinę, zabije Henryka, który śmiał sobie zadzwic z niej, usunie z drogi Allana, markiza, wszystkich. Na nienawistny dom Kermorów rzuci hańbę, wstyd i ruinę. Żłogą i rozpaczą otoczy ostatnie lata życia dumnej markizy!

— Nie oszukujmy się już wzajemnie, mój przyjacielu — rzekła po chwili bankierówna, uwalniając ręce z namiętłego uścisku swojego współnika — Musimy okupić przeszłość. Bądź rozsądnym, Delrue. Przysięga nasza zamieniona została i trwać będzie. Teraz rozpatrzmy się dokładnie w planach naszych.

Delrue powstał, chwytając się na nogach i spojrzeniem zdobywcy objął całą postać Sydonii. Siedziała zamyślona, podpierając ręką głowę, rozgorączkowana, z oczami utkwionymi w próżnię.

— Tak — rzekła — Hrabia pojechał tam z Allanem. Ich sprawa jest już pewnie załatwiona?

— Oczywiście! Badają kolej. To jest rzecz pewna.

— To mnie zresztą nie interesuje. Henryk zwierzył się ze swojej miłości dla Janiny przed Allanem i ten wszedł od razu w rolę dobroczynnego wuja.

— Jest nim rzeczywiście. Nazywa się Allan le Brenn.

— Możliwe. To szczególne jednak, jak niektórym ludziom szczęście sprzyja.

— Naprzykład Kermorowi — westchnął ciężko Delrue.

— I Janinie, tej Bretonce — podkreśliła Sydonia z nienawistnym uśmiechem, który zeszpecił jej piękną twarz. — Ale ty nad tem czuwać będziesz. Kermor zapewne pozostał na swoim stanowisku w koloniach?

— Tak sędzę. Allan odjedzie dziś jeszcze. — Mówił, że przybył do Paryża wczoraj dopiero. — To musi być prawda. On nie zadaje sobie trudu kłamania.

— Ależ on jedzie. — Andrzej Delrue zastanowił się chwilę.

— Do Kongo... lub też do Roche Kermor.

— Roche Kermor? Po co?

— Zapewne, aby zobaczyć się ze swoją siostrzenicą, która tam powróciła.

Sydonia syknęła gniewnie.

— Sądziłam, że znajduje się jeszcze w więzieniu świętego Łazarza, razem ze swoją chlebobawczynią. Byłam nawet pewną, że Allan był tam o nią się upomnieć.

— Nie. Janina krótko bardzo przebywała w więzieniu. To ja namówiłem ją na powrót do Bretanii. Nie bierz mi tego za złe, Sydonio, uczyniłem to w dobrej myśli. Gdyby nie ten wyjazd, niewinność jej prędzej jeszcze zostałaby odkryta, zaręczam ci. Umiałem zręcznie odwieść markizę i markiza de Kermor od zajęcia się nią, do czego mieli wielką ochotę. Podjąłem się więc wobec nich wyprawienia jej do Bretanii, razem z pieniędzmi, które niegdyś uciekając, pozostawiła w pałacu. Postarałem się również o to, aby Barykada ostatecznie się z nią załatwił, ale ten przekłety Allan przybył w samą porę, aby zniszczyć wszystkie moje działania. Los uwziął się na mnie.

— Straszna bywa gra losu — przyznała Sydonia — Ale my staniemy w poprzek wszystkiego i zniszczymy wszelkie kombinacje, nawet najbardziej nieprzewidziane. Więc zatem ta Janina jest wolna: mieszka w swojej chacie i ten bogacz pewnie do niej podąży, mając w ręku ten twój wspaniały dokument. Wszystko się rozświetli. Gdyby może uprzedzić go, uczynić nieszkodliwą tę dziewczynę... Cóż ty na to, Delrue?

— Szukam sposobu.

— Nie szukaj. Zdaje mi się, że znalazłam i to coś niezwykłego. Od jednego zamachu załatwimy parę rzeczy. Wszystko da się załatwić przy pomocy pióra i rewolweru, jak sądzisz? Tylko należy tam przybyć przed nim, lub też podążyć za nim do Kongo i wstrzymać go w drodze.

Zamilkła nagle, poruszona nową myślą.

— Nie — rzekła — to niemożliwe. Musimy jeszcze mieć w rekach pismo tego człowieka. Dałabym chętnie sto tysięcy franków za autograf Allana.

— Mogę go pani ofiarować — wyrzekł pośpiesznie Delrue i wyjął z kieszeni stenografowaną kartkę Allana, którą tenże w czasie rozmowy z nim pozostawił na biurku. Były tam cyfry, urywki zdań, nazwiska, widocznym piórem zaznaczone.

— Ah! — szepnęła Sydonia, biorąc papier do ręki — To spowiedź twoja w skróceniu.

Z łatwością przeczytała notatkę i uśmiechnęła się gorzko.

— Nie szczędziłeś nas pan — rzekła z wymówką w głosie — ale chcę o tem zapomnieć.

— A ja, Sydonio, chcę ci to wynagrodzić i zasłużyć na twoje uznanie.

— Zobaczymy. Jedna rzecz mnie tylko zastanawia w tych zeznaniach, w których nas tak pogrzebiłeś, Delrue. Jasne są aż nadto i dokładne, a jednak niema w nich opowieści z ulicy Eutrepot.

— Potwierdziłem tylko, zaręczam ci, to wszystko, o czem już wiedział Allan le Brenn, przychodząc do mnie. Zapewne nie wie o zasadzce Barykady i jego towarzyszy, skoro nie żądał odemnie potwierdzenia. Zresztą hrabiemu Henrykowi samemu nie wiadomo, że to Janinę wówczas obronił. A ona myśli, że to ja byłem tym odważnym wybawcą.

— Trzeba to wykorzystać natychmiast, jeżeli jest jeszcze czas po temu. To musi się stać, zanim ta dziewczyna otrzyma prawdziwe informacje i podzieli się niemi z Allanem. Ona nie powinna więcej myśleć o Henryku, tylko o tobie, jako o swoim wybawcy. Przyspiesz bieg rzeczy, idź do niej i staraj się o jej względy, pokazuj się z nią publicznie we wsi i okolicy. Zresztą w tym wypadku, sam będziesz lepiej wiedział, co ci uczynić wypada. Musisz tak rzecz całą przeprowadzić, aby małżeństwo z nią stało się nieodzowne i konieczne, rozumiesz mnie Delrue?

Delrue patrzył na Sydonię ze zdziwieniem i nagle rozczarowaniem, które ukryć nie potrafił.

— Moje małżeństwo z nią? Sydonio, co to ma znaczyć? — wyszeptał poruszony.

Bankierówna rzuciła mu ostre, zimne spojrzenie.

— Ah! mój drogi! Mam coś ważniejszego w gło-

wie, jak głupia zazdrość o ciebie. Połącz się z tą dziewczyną, ja zaś się pocieszę, poślubiając później wdowca.

— Ależ Allan będzie opierał się temu z całych sił! — próbował bronić się jeszcze Delrue — Może nawet w ostateczności wydziedziczyć ją.

— Allan żyć wówczas już nie będzie, a ty napiszesz jego testament, pod moim kierunkiem. Masz tu jego pismo na szczęście. Naśladowanie go nie przyjdzie ci z trudnością, zwłaszcza, żeś się już bawił w podobne historye.

Szałony lęk znowu ogarnął nędznika. W pomieszczeniu swoim zapomniawszy nawet o nagrodzie, czekającej go za jego trudy.

— Allan żyć nie będzie?! — powtórzył nieprzytomnie.

— Tak — potwierdziła rozkazująco Sydonia, prostując się, pewna siebie i dumna — Czy cię to dziwi? To znany oryginał. Łatwo przyjść mu może myśl samobójstwa. Zaudzi go życie, podróże i pewnego dnia, znajdą go nieżywego na jakiejś skale w Roche Kermor. W ręce będzie miał wystrzelony rewolwer. No, jakże ci się to podoba, Delrue?

— Więc ja to muszę...

— Nie. To ja zrobię. Rękę będę mieć pewniejszą od ciebie. Każdy z nas otrzyma podział czynności. Ty naprawdę, mój przyjacielu, jesteś za wielkim tchórzem. Powierzam ci dziewczynę.

Sydonia uśmiechnęła się pogardliwie i rzuciła wyzywająco:

— Czy może żądam za wiele?

— Sydonio, droga Sydonio! Przełacz mi... ale ja doprawdy jeszcze nie rozumiem dokładnie wszystkich szczegółów.

— Objaśnię cię dziś wieczorem w pociągu. Tak, będziemy razem podróżować. Czy nie jesteśmy od dnia dzisiejszego narzeczeni? Podróż w tych okolicznościach jest bardzo interesująca. Sądzę, że nie obawiasz się mnie?

— O! Sydonio! Przy tobie nabieram odwagi.

Spojrzała na niego przeciągle i obiecująco, oszalałając go do reszty tem spojrzeniem. Zwała swoją władzę i czuła, że uczyni z nim, co zechce.

— Teraz napiszemy testament — zaśmiała się — Rozumiesz, mój kochany? To będzie dokument ważny, wyjaśniający samobójstwo tego szaleńca. Pomoże nam w naszych planach i zastąpi tamten dokument, który na nas wymuszono. Mówię „nas”, bo już wspólnie żyć i działać zaczynamy. Sądzę, że będziesz ze mnie zadowolony.

Delrue oszołomiony, nieprzytomny z radości, miał tylko jedno pragnienie w sobie. Czynić wszystko, co mu Sydonia rozkaże. Usiadł skwapliwie przy biurku i pisał pod dyktandem Sydonii. Oboje głos zniżyli i od czasu do czasu nadśluchiwali, czy kto nie nadchodzi do biura.

— Czy ta robota potrwa długo? — zapytała Sydonia, pochylając się nad ramieniem piszącego.

— Tak, to będzie długie i dosyć ciężkie do przeprowadzenia. Trzeba odbijać pojedyncze litery, słowa, wpisać się w to pismo wyrażenie i energiczne.

— Mówisz, że będzie ciężkie?

— Tak, ale wykonam to artystycznie. Najlepsi znawcy z lupą w ręce, nie przychwyć mnie na żadnej niedokładności.

— Musimy być przy odjeździe pociągu pośpiesznego do Bretanii.

— Odchodzi około godziny ósmej. Będziemy, bądź spokojna.

— Doskonale. Zamówisz powóz. Ah! prawda! Trzeba przecież pamiętać o wszystkim. Czy znasz jakiego amerykańskiego skład broni w Paryżu?

— Znam, mieści się nawet stąd niedaleko.

— To więc kup rewolwer dobrej marki, który poświęcimy Allanowi. Może być większy bull dog.

— Znam jego broń. Mierzył z niej do mnie, tu, w tem biurze. Bez tej sympatycznej prośby nie byłbym dokumentu podpisał.

— Kłamiesz, Delrue — odpowiedziała zimno Sydonia — Do widzenia, zobaczmy się wieczorem.

Podala mu rękę, którą on gorąco ucałował i odešla mówiąc rozkazująco:

— Nie odprowadzaj mnie do drzwi. To niepotrzebne. Wolę przejść sama.

Delrue uśmiechnął się do niej rozpromieniony i natychmiast z zapalem i gorliwością powrócił do swojej pracy. Czuł się teraz innym, odrodzonym człowiekiem.

Sydonia po wyjściu z banku wsiadła do swojego samochodu i rozkazała szoferowi jechać na bulwar Hausmanna.

Ojciec jej powrócił w czasie jej nieobecności. Był zmieniony do niepoznania. Z dawnego zwycięskiego i dumnego człowieka pozostał cień tylko. Zestarzał się bardzo, włosy jego były zupełnie białe, twarz wychudła, pożyłkła, a w całej postaci widoczny był